Lwów, 7. Października. Nr 120. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XII.

(Ciąg dalszy).

Za ten czyn piękny starosta tak Prokopa polubił, że go już od siebie nie puścił i zawiózłszy do siebie (a mieszkał on natenczas w swoich dobrach Sądeckich, chociaż zawsze większą część roku przesiadywał u ojca,) swoim pierwszym dworzaninem uczynił. Po śmierci kasztelana starosta, zostawszy podkomorzym Halickim, sprowadził się tutaj i Prokopa wziął z sobą. Tegoż Prokopa bracia starsi wszyscy wyginęli na wojnach a Bilińskie dziedzictwo dostało się jemu; pomimo to wszakże on ani sam tam nie wracał, ani nawet podług starego zwyczaju żony sobie z Biliny nie wziął, tylko tu się ożenił i przy panach swych został, zawiadując w poźniejszym wieku wszystkiemi ich ruskiemi dobrami. Jakoż od niego począwszy, wszyscy już Burkowie tu się porodzili, tu powychowywali i w tej służbie poumierali, kładąc swe kości przy kościach swych panów po śmierci, tak jak ich serca były przy nich za życia. Za młodu zostawali oni zwyczajnie na dworze tutejszym, (bo już to tu zawsze główna bywała naszych panów rezydencya,) i sprawowali służbę przybocznych dworzan; w wieku męskim zawiadowali temi dobrami, a na starość powracali znowu do boku pańskiego, przyjmując tytuły i obowiąski marszałków dworu, jeneralnych komisarzów, albo plenipotentów, jak tam czasy i okoliczności były po temu. Tak też było i ze mną: za młodu służyłem z nieboszczykiem panem w wojsku, potem gospodarowałem na dobrach Wielkopolskich, które dzisiaj w pruskich są rękach! potem gospodarowałem tutaj, aż nakoniec wyszedłem na jeneralnego plenipotenta, jako taki pochowałem nieboszczyka mojego pana i jako taki służę dziś jego synowi. Tytuł ten dawniej panie coś znaczył, bo przez lat kilkanaście człek był ciągle na wózku, jeżdżąc z Wielkopolski na Ruś, a z Rusi w Sądeckie i znowu do Wielkopolski, — i dysponował człek tysiącami pieniędzy i tysiącami ludzi, — zrobiło też się niemało dobrego tym ludziom i było stąd pomiędzy nimi znaczenie a zasługa u pana Boga: — ale dzisiaj zeszło się panie prawie na burgrabiego, ot! i nie ma co o tem powiadać. Ale kiedy taka jest wola pana Boga, niechaj się dzieje! — nie jest to jeszcze tak źle, ażeby nie mogło być gorzej. Mamy tu jeszcze trzy wsie tak prawie jak gdyby podolskie, mamy jedenaście wiosek górskich, które się ztąd jednym łańcuchem ciągną aż do samej węgierskiej granicy, mamy i długi, ale mamy też jeszcze pretensye we Wielkopolsce i mamy piękne nadzieje: a niechno się pan Edmund z jenerałówną ożeni, to jak zakaszemy rękawy i zagospodarujemy rozumnie, będziemy jeszcze takimi panami, jakimiśmy byli i znać nas panie będzie w ojczyźnie!

Skończywszy swoje opowiadanie, stary i wiernością swojej służby szczęśliwy Biliński, przysunął się bliżej do Kamila, chcąc zapewne dojrzeć, jakie ta historya na nim sprawiła wrażenie, — ale jakież było jego zdziwienie, kiedy się przekonał dowodnie, że Kamil spał sobie w cichości jak najwyborniej. Kiwnął więc tylko ręką przed siebie i zapadłszy nazad w swe krzesło, smutno się jakoś zamyślił. Po chwili namysłu atoli, powstał, przystąpił do Kamila, obudził go i ująwszy snem ciężkim rozmarzonego za rękę, zaprowadził na łóżko Edmunda. Potem cisza grobowa zaległa dwór cały, i zapewne wszystko do koła spało snem twardym na swoich łóżkach lub barłogach, — Burka tylko jeden, mając swojej opiece powierzonym człowieka, którego ścigano, do snu się nie położył i siedząc w swem krześle przy kominie, przeczuwał noc całą.

Dzień następny już prawie do południa się zbliżał, kiedy Kamil obudził się ze snu. Powstawszy z łóżka, czuł on się niby pokrzepionym na siłach fizycznych, ale pomimo to czuł się jakoś dziwnie zmęczonym moralnie. Głowa ciężka, myśli niejasne, serce drżące i siebie niepewne, ociężałość we krwi, rozdrażnienie na nerwach, nastroiły tak jakoś jego cały organizm, jak gdyby był przerażony jakąś ustaloną obawą i zgrozą. Dla tego jak tylko Burkę obaczył, zwierzył mu się z tem swojem usposobieniem natychmiast i prosił o jakąś radę stanowczą, zapewniając go, iż w takiem położeniu ani dwóch dni-by wytrzymać nie zdołał.

— Nie dziwuję się temu, — rzekł na to Burka, — bo trudnoż ma być panu inaczej, ale niech-no pan będzie spokojny, już ja tu pomyślałem o wszystkiem.

Wszakże to jeszcze niezadowolniło Kamila, bo jakkolwiek nie miał powodu do nieufania staremu Burce, je-

dnak nie miał także powodu do pewnej nadziei, że ten doświadczony zapewne ale dziwnie powolny i przestarzały szlachcic, potrafi zaradzić wszystkim jego teraźniejszym potrzebom i urządzić rzeczy tak, ażeby Kamil mógł najdalej za dni parę z tego domu wyjechać i to wyjechać tak, jakby tego był pragnął. Jakoż w wielkich dusznościach i niespokojach przepędził on cały czas popołudniowy i w takiemże samem usposobieniu usiadł o zmroku na swojej sofce wczorajszej przy kominie, ażeby na nim płomień z drzew tlejących rozniecić. Atoli ledwie co się zajął tą robotą, kiedy drzwi się otworzyły od sieni a zarazem z warczeniem ich zardzewiałych wrzeciądzów dał się mu słyszeć głos dobrze znajomy:

— *Quintum diabłum* mospanie! a chodź-że tu, niech cię uściskam.

Kamil porwawszy się prędko, rzucił się jak strzała w starego Szłyka objęcia a ten ściskając go i całując z tej i owej strony, oglądał go co chwila i tak mówił dalej:

— A jak'eś mi wyrósł! a zmężniał od tego czasu: a jak ci się barki rozrosły a czoło podniosło! ba ba! co widzę! nawet wąs ci się wysypał! Twarz trochę przychudła i oczy cokolwiek zapadły, to prawda; ależ-to nie dziw! kłopoty, obroty, za katy! *Quintum diabłum* mospanie! i niedźwiedź przychudnie, kiedy się go obsaczy i ściga, choć to bestya potężna i nie lada co czuje! a cóż dopiero człowiek, i to młody do tego i dopiero co ze szkół! Ale drwij z tego mospanie! perepałki nigdy nie zaszkodzą młodemu; bo człowiek jak szyna, hartu i formy najlepiej nabiera pod młotem. Pod młotem nieszczęścia mospanie, bo trzeba mnie dobrze rozumieć, ale nie pod tym młotem.... co to wiesz! no! kwita i basta! mądremu dwa słowa i dosyć. A żeś ty mądry, to nie trzeba powiadać. Bo kiedyś ty się wydobył z takiej ciasnoty... ja tam byłem, oglądałem to z bliska... taż to skała Tarpejska..... skok panie mortalis!...... Skała wprawdzie pochyła, ależ przepaść mospanie!.. kiedym w nią spojrzał z galeryi, zgłupiałem i ledwiem uwierzył... bo diabeł-że by się mógł tego spodziewać po takim mazgaju! Ale wracam honor waćpanu... wracam ci go z pokorą i drugie tyle dodaję... i wszyscy ci go oddali. Stał tam przy mnie na tej galeryi ten starszy od straży granicznej, co to nim za drzwi świstnął nieboszczyk Jenerał... a któren teraz, zabiwszy Jenerała, paradę mu robił po śmierci... i ten ci wrócił honor! i rzekł: niech go jasny piorun trzaśnie!... i prawda, bo co warte, to warte.

— To pan Jan wraca z pogrzebu? — zapytał Kamil śród natłoku myśli nie wiedząc sam dobrze, o co ma pytać najpierwej.

— Z pogrzebu, z pogrzebu, odpowiedział Szłyk, siadając przy kominie w sąsiedztwie Burki, a naprzeciw Kamila, — i odbyło się wszystko jak trzeba, ćma księży, gmach światła, strach ludzi, tylko łez troszkę za mało. Ale to tak bywa na świecie: kto za życia łez nie ma dla ludzi, dla tego ludzie mieć ich nie mogą po śmierci.

— Ot! daj pokój panie Janie! — odezwał się na to Burka, — stoi on tam już dzisiaj przed Bogiem a nam nie wolno o takich *nil, nisi bene*.

— *Bene*, — odpowiedział Szłyk, — i ja też niechcę o nim nic złego wspominać, chociaż prawdę mówiąc.... i uderzywszy się własną ręką po gębie, umilkł.

Potem przyniesiono jakąś przekąskę i butelkę starego miodu, którym rozegrzawszy się dobrze, stary Szłyk przystąpił do rzeczy, a to do statecznej narady nad przyszłością Kamila. Przywiózł on ze sobą już gotowe *vota* pana Bonawentury i księdza Augustyna, którzy nie mogli tutaj przyjechać dnia dzisiejszego, ażeby za śladem swoim jakich nieproszonych gości nie przyprowadzić, ale którzy obadwa byli za tem, ażeby Kamil dłużej nie bawił w kraju i jak najprędzej za granicę wyjechał. Tegoż samego zdania był także Kamil, więc narada nad tym punktem nie trwała długo, ale wszczęła się żwawa dysputa nad tem, jakim sposobem uskutecznić ten wyjazd? — I mówiono o tem obszernie i dosyć gruntownie, podawano różne plany i różne projekta; pomimo to wszakże nie zgodzono się na nic i skończyło się na tem, że Szłyk przed północą odjechał, wszakże z przyrzeczeniem solennem, że za parę dni i z gotowym projektem i ze środkami do wykonania go wróci.

Tak więc i odwiedziny Szłyka jeszcze nie zadowoliły Kamila, jakoż w równej niespokojności przeszła mu cała noc i dzień cały następny. Atoli tak samo przeminął mu i dzień czwarty od jego z domu Jenerała ucieczki, a gorzej jeszcze daleko dzień piąty i szósty, bo ani Szłyk nie powracał, ani Edmund nie dawał żadnej wiadomości o sobie. Miliony myśli i domysłów przesunęło się przez ten czas przez głowę Kamila, miliony uczuć i przeczuć wyrosło w jego sercu a z tego znowu miliony kombinacyi ułożył jego rozum; — ale to wszystko tylko bardziej podnosiło jego niespokojność i tem więcej go rozdrażniało. Aż dnia siódmego wieczorem przyszła od Edmunda wiadomość, atoli wcale nie zaspakajająca, bo donosił Burce, że cały dom jenerała jest chory i że go ani na chwilkę odstąpić nie może; ale za to dnia ósmego rankiem Szłyk stary przyjechał.

Już na samym wstępie to zadziwiło Kamila, że stary wachmistrz tym razem był ubrany w granatową, długą po same kostki kapotę, trzosem skórzanym był opasany po wierzchu, czapkę baranią wysoką niósł w ręku i zgoła na jakiegoś mieszczanina, handlarza z małego miasteczka, wyglądał. Ale wytłumaczył mu to Szłyk zaraz, kiedy go uwiadomił, że ma takiż sam ubior dla niego i paszport w kieszeni, na imię jakiegoś kupca Ormianina, jadącego ze synem za towarami do Lipska.

Wiadomość ta niezmiernie uradowała Kamila i twarz jego zajaśniała zrazu tak pełnym promieniem radości, jak gdyby mu do szczęścia nic już nie brakowało. Atoli Szłyk do powyższej wiadomości dodał i tę, że niemogą wyjeżdżać natychmiast, bo on musi jeszcze obradzić się z Burką, jaką

drogę-by obrać i jakim-by sposobem można się uprowidować w takie podwody, któremi-by jeszcze dnia tego i nocy następnej można przynajmniej mil kilkanaście upalić. To zabrało cokolwiek czasu i dało Kamilowi sposobność do namyślenia się nad sobą, nad ważnością tej chwili, w której kraj może na zawsze opuszcza i nad tem wszystkiem, co tu drogiego w tym kraju zostawia. I przypomnienia te zaćmiły zaraz ów wyraz promienny na jego twarzy i obciągnęły ją chmurą, jedną wprawdzie, ale czarną jak całun pogrzebowy i krwawą po krańcach, jak ów pręg płomienny na niebie zachodniem, któren zostawia po sobie słońce, zwiastujące wichry, ulewę i burzę. I tej chmury nie mógł on już spędzić z swej twarzy, ani nawet rozjaśnić, — widać że pod nią darło się serce jego w rospaczliwej boleści i krwią swoją zalało wszelkie inne uczucia i myśli.

Aż nadeszło nareszcie południe a z niem chwila odjazdu. Już stały przed gankiem sanie, rześką zaprzężone fornalką, już Kamil był ubrany w długą granatową kapotę, już zarzucono tułub barani na niego, już się pożegnał ze starym sługą Edmunda, już wyszli na ganek, już Szłyk siedział na saniach, już Kamil oddawał Burce ze łzami w oczach ostatnie pożegnanie dla ojca, dla Edmunda, dla wszystkich znajomych, dla kraju całego, — kiedy spienionym koniem, małemi saneczkami i z wyrytym na twarzy pośpiechem, stary Mateusz, ów nieszczęśliwy stangret jenerała a utajony przyjaciel Kamila, zajechał przed ganek.

Wyskoczył on natychmiast ze sanek i rozróżniwszy niepewnym swym wzrokiem Kamila od reszty osób stojących na ganku, przystąpił do niego i oddał mu list mały, na cieniutkim pisany papierze i malutką przygnieciony pieczątką. Atoli wielkim i ważnym musiał się wydać ten list w oczach Kamila, bo twarz mu się zmieniła, ręce mu się zatrzęsły i rozdarłszy pieczątkę, zdawał się nie czytać, ale połykać następujące wyrazy:

— Drogi panie Kamilu! Gdybym miała pióro Bajrona w ręku, to jeszcze nie potrafiła-bym ci opisać wiernie tego krwawego żalu i tej strasznej rospaczy, w których kona me serce od chwili ujścia twego z naszego domu. Okropna śmierć mego ojca i równie może okropny wypadek, któren ciebie stąd wygnał, oboje to razem spowodowane niegodnemi intrygami mej ciotki, otworzyło mi oczy na wszystko i otworzyło moje serce na zawsze dla ciebie! Teraz dopiero widzę, jak czarno ci się odwdzięczałam za tyle miłości i poświęcenia! Ciężkie wyrzuty sumienia stanęły jak straszydła nademną, żal głęboki za ojcem, rospacz za tobą, mój drogi! obrzydzenie do ciotki, a jeszcze nad to ta nielitościwa miłość Edmunda, wszystko to razem rzuciło mnie w tak straszną męczarnię, że zdaje mi się, że w niej znajdę już koniec mojego życia!... Stan mój jest opłakany... nie wyobrażałam sobie nigdy, ażeby miłość tak okropne mogła za sobą pociągnąć skutki!.. Ale jeszcze nie wszystko stracone. Ratunek mój w twoich jest rękach! tak, w twoich, drogi, unieszczęśliwiony Kamilu! Jestem wolną i od nikogo już niezależną. Mogę rozporządzać sobą, jak mi się podoba i oddać się temu, za którym jest wola moja, miłość, serce, uczucie... a chociażby kaprys sam tylko!... Więc jeśli możesz, przyjeżdżaj natychmiast, albo się ukryj w jakim niedalekim kąciku, ażebyśmy się mogli widywać; tymczasem swoboda się dla ciebie wyrobi przez ciotkę, która ma wielkie wpływy i już teraz żałuje za grzech swój...... a potem w obec Boga i świata jestem twoją na wieki! Drżąc z niecierpliwości, oczekuję odpowiedzi od ciebie, pozdrawiam cię do widzenia i obym cię mogła jak najprędzej powitać! — Adela.

Odczytawszy to pismo młodzieniec, załamał ręce konwulsyjnie, podniósł je wraz z listem w nich zmiętym do góry i w płacz głośny, rozdzierający serce, wybuchnął.

Otaczający go wszyscy spojrzeli ze zdumieniem i litością na niego, potem niespokojnie spoglądneli po sobie. Szłyk już zaczął wydobywać się z sanek, ale Kamil tymczasem zerwał się nagle z miejsca, pobiegł do znanej nam już komnaty, drzwi za sobą zatrzasnął i na klucz je zamknął. Znalazłszy się sam, spojrzał jeszcze raz szalonemi oczyma na list, jeszcze raz ręce konwulsyjnie załamał, jeszcze raz gorącemi zalał się łzami i stał potem przez chwilę prawie nieruchomy na środku komnaty. Lecz pomimo tej nieruchomości zewnętrznej widać było po jego twarzy i oczach, pod któremi gwałtowne burzyły się ognie, że jakaś okropna toczyła się w nim walka, walka stanowiąca o śmierci i życiu. Ale po chwili było już wszystko skończone. Młodzieniec bowiem porwał się znowu tak nagle z miejsca, przystąpił prędkim krokiem do biórka i porwawszy ćwiartkę papieru, następujące na nim wyrazy napisał:

— Biada niewiastom, jeśli kochają szaleńców!.... dalej wiesz już... brama do szczęścia stoi otwarta przedemną.... tyś rozwarła jej wrota, ale je zamyka przedemną konieczność... zaledwie mogę odjechać, a jednak muszę!... Rozwiązuję wszelkie twe względem mnie obowiąski... oby Bóg ci dał tak zapomnieć uczucia!.... przebacz, żem ci zamącił pierwsze chwile twojego życia... bądź szczęśliwą.... zapomnij.... i pożegnaj na zawsze! — Kamil.

Tak zapisaną ćwiartkę papieru złożył w list, przycisnął pierwszą lepszą na biórku leżącą pieczątkę i wybiegł na ganek. Tam z równym pośpiechem oddał ten list Mateuszowi, rzucił się wraz ze Szłykiem do sanek i krzyknął na woźnicę, ażeby ruszał. I sanki rzeczywiście w mgnieniu oka zniknęły z dziedzińca, unosząc z sobą swoich podróżnych a zostawiając w szczególniejszem zadziwieniu starego Burkę wraz z innymi domownikami na ganku.

XIII.

Ażebyśmy mogli dalej naszą powieść prowadzić porządkiem wydarzeń i ażeby żaden jej szczegół daleko za nami nie został, musimy Kamila porzucić i powściągnąć nasz umysł, ciekawy nieszczęśliwych losów tułacza, a natomiast powrócić do jego przyjaciela, we wszystkiem dotychczas szczęśliwszego od niego.

Kiedy więc Edmund owego wieczora, w którym szczęśliwym trafem stał się zbawcą swojego kolegi, na wiadomość o nagłej śmierci jenerała w nocy z domu wyruszył, stanął on, odpowiednio swym chęciom, rzeczywiście jeszcze przed północą przed gankiem jeneralskiego dworu. O tej godzinie w tym dworze zawsze dotąd grobowa panowała już cisza, wszystkie drzwi były pozamykane, wszystkie światła pogaszone a po dziedzińcu tylko psy domowe błądziły, wietrząc na wszystkie strony, naszczekując i wyjąc. Dzisiaj psy stały w milczeniu przed swojemi budami, poglądając wielkiemi oczyma w okna pałacu i dziwiąc się że ich z łańcuchów pospuszczać zapomniano, — ale za to po dziedzińcu kręciło się mnóstwo różnych ludzi i obcych i domowych, drzwi wszystkie od oficyn i dworu stały otwarte na ścieżaj, a wszystkie okna pałacu płonęły światłem tak jasnem, i na twarzach ludzi, tam i sam się kręcących, było widać tak wiele gwarliwego zajęcia się, jak gdyby bal się odbywał we dworze albo panny jenerałownej wesele.

Widok ten wszakże tem tylko jeszcze więcej przerażające uczynił na Edmundzie wrażenie, — jakoż wyskoczył on prędko ze sanek, zrzucił futro ze siebie w sieni i wpadł z takim pospiechem do jenerała sypialni, jak gdyby jeszcze do tej chwili jego śmierci nie wierzył i chciał się o niej jak najprędzej przekonać. Atoli kroki jego zatrzymały się prawie przy samym progu, —izba ta bowiem była cała kirem pogrzebowym wybita, na jej środku stał pomiędzy mnóstwem świateł wysoki katafalk a na nim leżały rzeczywiście martwe i zimne zwłoki tego żelaznego starca, któren nigdy przed nikim nie zachwiawszy się w życiu, mógł upaść tylko pod ciosem śmierci. Dziwna rzecz wszakże, że twarz jego, na której rysach stanowczość i surowość zdawała się być zakrzepłą za życia, prawie całkiem się odmieniła po śmierci i na niej teraz jak najwyraźniej czytać można było wyrazy jakiegoś głębokiego uczucia, które zdawało się być zlane z porywającego żalu i i strasznie krwawej boleści.

Są ludzie, którzy utrzymują, że wyraz zakrzepły, na twarzy umarłego człowieka, jest odbiciem nie tego wrażenia, które było jego ostatniem wrażeniem na ziemi, ale już tego, które było pierwszem w nowem życiu za grobem, — a zatem, że z ostatniego wyrazu twarzy człowieka można z wielkiem prawdopodobieństwem domyślać się stanu, w jakim się duch jego znalazł na wstępie w świat zagrobowy. Nam się atoli zdaje, iż taki pewnik jest tylko domysłem, któren sam zaledwie się zbliża do prawdopodobieństwa, i jesteśmy zdania, że wyraz twarzy umarłego człowieka, (jeżeli w ogóle pismo takie jest czemś więcej jak bardzo nieczytelnemi hieroglifami,) co najwięcej, może być tylko wyrazem wrażenia, jakie na nim widok śmierci i może widok siebie samego przy śmierci, uczynił. Bądź co bądź wszakże doświadczenia badaczów tego przedmiotu nas uczą, że dla umysłów przytomnych i trzeźwych ostatnia chwila przed śmiercią bywa niby pryzmatem, w który wszystkie siły ich ducha się zestrzeliwają i że im wtedy częstokroć przychodzą myśli takie, na które nigdy nie mogli się zdobyć za życia. Myśli takie są jak-by meteory duchowe, które nagle się wznoszą ponad krainą wiedzy, pękają, oświecają swojemi promieniami cały bieg kończącego się życia i wyniosłszy zeń ostateczną treść jego, stawiają ją przed sumieniem człowieka. Tego przekonania nabywszy, nietrudno nam będzie odgadnąć, dla czego ojciec Adeli, przeżywszy życie całe w żelaznej wytrwałości swych zasad, tylko żal i boleść poniósł z sobą do grobu.

Wszakże Edmund nie zważał wcale na rysy twarzy, tylko mając zadosyć na wrażeniu ich trupiej nieruchomości, poświęcił im chwilkę namysłu, ażeby czemprędzej obaczyć tych, którzy pozostali przy życiu. Przebiegł też on prędko wszystkie pokoje po kolei i nie znalazłszy w żadnym nikogo, zatrzymał się aż na progu sypialni pani marszałkowej. I jakiż-to go widok tam nagle uderzył?

Oto pani marszałkowa leżała wyciągnięta na łóżku, lekką tylko kapą przykryta; widać że jej duszno musiało być w piersiach i gorączka rozlewała ogień po żyłach. Jej głowa była oparta na kilku poduszkach i twarz obrócona na pokój, ale jakżeż ta twarz była teraz zmienioną! Edmund musiał długo się przypatrywać, zanim nabył pewności, że to nie jest kto inny. Nawet nie można-by mu się było dziwić, gdyby był jej całkiem nie poznał. Był-to bowiem już zaledwie szkielet tej twarzy, którą ta pani jeszcze przed kilką dniami tak wdzięcznie uśmiechała się Kamilowi. Jej policzki zapadły się całkiem i obciągnęły jakąś wyżółkłą, babkowatą powierzchnią i okryły się setkami bruzd głębokich i zmarszczków; jej wargi zsiniały i obwisły i wcisnęły się głęboko w wnątrz gęby a z pomiędzy nich zamiast dwóch rzędów błyszczących perełek, wyglądały trzy poczerniałe, szkaradne zęby; jej broda się zaostrzyła, jej oczy zapadły w głąb i prawie całkiem zagasły a podczas kiedy nad niemi brwi pobielały, powieki obciągnęły się barwą prawie stalową, — co wszystko razem o tyle jeszcze wyglądało straszniej i obrzydliwiej, ile że całą twarz tę, miast czarnych błyszczących loków, okalały rozczóchrane strzęple rzadkich, półsiwych włosów.

(D. c. n.)

WIERNIK.

(Ciąg dalszy).

Wtem pieśń zabrzmiała, z początku cicha,
Jako zaklęte ciszą głębiny,
W dźwięku jej życie ledwo oddycha,
Nuta jej jako łza w oku drząca,
Lecz potem coraz namiętniej wrząca,
Jakby się chciała przedrzeć z cieśniny,
Przez chmury, gwiazdy tam w przestwór siny,
Gdzie szczęście albo męka bez końca!
Pieśń ta się z głębi zamku odzywa,
I z głębi piersi, co nieszczęśliwa.

Daszko się wzdrygnął, wyrwał go z męki
I odrętwienia głos tej piosenki,
Jemu znajoma gdzieś jej osnowa,
On pojął nutę, niesłysząc słowa,
On tylko jeden. Na ruskiej ziemi
Nikt nie zaśpiewa dźwięki takiemi.
O! cudniej musi być w tej krainie,
Straszniejsze muszą być tam pustynie,
Gdzie po raz pierwszy pieśń ta zabrzmiała.
Większe roskosze i większe męki
Pierś ta czuć zdolna, co ją śpiewała,
I niema może duszy tak miękkiej
Na Rusi, coby ją zrozumiała.

Daszko zrozumiał, — na wszystkie strony
Jak z snu strasznego patrzał zbudzony,
A lice jego i wzrok jaśnieje,
Jak słońce w zimie, gdy jasnem okiem
Spojrzy na ziemię, co w śnie głębokiem
Leży, spowita w lód i zawieje:
Ziemia się wtedy w swej martwej bieli
Jakimś przedziwnym blaskiem weseli.
Daszko przypomniał sobie znów—chwilę,
Boleśną niegdyś—dziś wspomniał mile.
Nadziei gwiazda mu się wynurza,
Jak z pośród kolców wykwita róża.

Gdy do ojczyzny wracał już drogiej,
Pożegnał Anny rodzinne progi,
Żałość nim niosła po smutnej błoni,
Lecz wciąż go nazad coś rwało do niej,
Więc zwrócił konia w te strony święte,
Jak przywołany w koło zaklęte.
I pośród nocy ciemnej, ponurej,
Patrzył na zamku dziwaczne mury,
I lśniła gwiazda, jedyna w koło,
Smutnie dla świata, jemu wesoło!
Gwiazdą tą było światło kaganka,
Gdzie przebywała jego bogdanka.
To Anna czuwa, i o nim pewnie
Duma; i dziwnie tęskno i rzewnie
W sercu Daszkowem. Za tym promieniem
Skoczył przez wały pod nocy cieniem.
A wtem zabrzmiała z Anny okienka
Smutna niezmiernie, tęskna piosenka,
Śpiew pożegnalny, a pośród ciszy
W pieśni wyraźnie imię swe słyszy.

Dziś pieśń ta sama z głębi zamkowej
Temi samemi zabrzmiała słowy,
Tylko że tęskna namiętna nuta,
Z jeszcze smutniejszej piersi wysnuta,
Więc w duszy jego, latami młodej
Odkwitły puszcze, prysnęły lody, —
Jak potępieniec, co z czyśca męk
Usłyszy chórów anielskich dźwięk,
Tak krzyknął: «Kocha mię wciąż jak przódy.»
I mknął szalony w głąb kurytarzy.
Tak go namiętność głuszy w pospiechu,
Dążąc do cichych świetlic kniaziowych,
Że w przebudzonem po kątach echu
Nie słyszał głosu duchów zamkowych:
„Biada! kto smutek żelżyć się waży:"

Anna w żałobie czarno jak wdowa, —
Bo kniaź na wojnie,—w głębi komnaty
Duma i patrzy przez okna kraty,
Jej myśli pewnie smutna osnowa,
Bo w drobną rączkę oparta głowa,
Na boku arfa, na niej zasłona,
Może na wieki na nią rzucona.
Komnata skromna, jakby w klasztorze,
A pod obrazem złotym Przeczystej
Goreje lampa, a blask jej mglisty
Błąka po hali, i o tej porze,
Gdyby powiesić czarny pokrowiec,
Myślałbyś że tu pusty grobowiec,
A Anna duma:

— «Mnie taką młodą,
Tu zakopano! w te zimne ściany,
A mym grobarzem był mój kochany!
Wielki majątku, rodzie, urodo!
Wyście dla kobiet darem Pandory;
Tylko że w naszej puszce złocistej,
Na dnie spoczywa żal wiekuisty,
Lub rospacz martwa bez sił i głosu...
Och gdy samotne przyjdą wieczory,
Serce dziewicze wspomni marzenia,
I znów jak w onczas się rozpłomienia,
I lecę Daszku w twoje objęcia,
I padam w ramię.... starego księcia.....
Jak tyś mię kochał, gdyś z opowieści
Prostej twej kniazia tak rozpłomienił,
Że się nieczuły na wdzięk niewieści,
Na swoje zimne lata ożenił, —
Ze mną. — Ha! szablą byłbyś mnie niedał!
Aleś językiem dwoje nas sprzedał,
Kto jest kochany, kto kocha kogo,
Niechaj to kryje jak perłę drogą!
Którą-by stracił ci wnet ktoś z dłoni,
Jemu ta perła wyda się fraszką."
I tu zamilkła i główkę kłoni;
Wtem drzwi zachrzęsły i stanął Daszko. (C. d. n.)

Jenerał Józef Chłopicki.

Donieśliśmy już o śmierci jenerała Chłopickiego. Pogrzeb jego odbył się dnia 1. października. Ciało jego przez bardzo liczną publiczność odprowadzone zostało aż za miasto, zkąd powieziono je do Krzeszowic, gdzie Chło-

picki pochowanym być chciał. Jenerał Józef Chłopicki urodził się w Galicyi, w roku 1772, umarł więc w 82 roku życia. Syn ubogich rodziców bardzo młodo wstąpił do wojska, a mając zaledwie 22 lat, odznaczył się bardzo pod Kościuszką. Później opuścił ojczyznę a gdy w r. 1797. Dąbrowski formował legiony we Włoszech, Chłopicki pospieszył do niego. Najwięcej odszczególnił się Chłopicki w Hiszpanii gdzie był w korpusie Sucheta, osobliwie pod Tortozą i Villozą. W roku 1812 został jenerałem brygady. W następnej kampanii rossyjskiej został ciężko ranny. A gdy się sądził upośledzanym, a innych mniej zasłużonych posuwano na wyższe stopnie, podziękował za służbę i żył prywatnie w Paryżu. Do nowo organizującej się armii polskiej w roku 1815 powołał go Cesarz Alexander. Nieugięty i niezawisłego umysłu Chłopicki, starł się z W. księciem Konstantym, i usunął się znowu od służby i żył w Warszawie skromnie i w zaciszu zupełnem, z szczupłego swego majątku. W późniejszych Związkach nie miał żadnego udziału, chociaż związkowi zawsze bez niego na niego liczyli. Miał on u narodu, a szczególnie między wojskiem i młodzieżą wielką wziętość z powodu iż go uważano za najdzielniejszego jenerała, również jak i z powodu zajść z wielkim księciem i mniemanej nienawiści Rossyi i niepodległego swego charakteru. W pierwszych chwilach w listopadzie nie brał żadnego udziału, nawet nigdzie go widać nie było. Później dopiero wyszukano go i oddano mu dowództwo naczelne wojska. Chłopicki nie wierzył w powstanie, ztąd otwarcie wypowiedział, iż dążyć będzie do zagodzenia całej sprawy, i że z drogi legalnej nie zboczy, dowództwo zaś naczelne wojska bierze od władz, ustanowionych od cesarza i króla.

Pierwszym czynem Chłopickiego była odezwa do wszystkich po kraju rozrzuconych oddziałów wojska, aby pozostały na stanowiskach, które dotąd zajmowały. Na odezwie nie podpisał się: *wódz naczelny*, z powodu, iż legalny wódz, jego zdaniem, był Carewicz, lecz obok nazwiska swego położył tylko tytuł jenerała; drugim czynem było zabespieczenie od pospólstwa jeńców, jenerałów rossyjskich: Essakowa, Richtera, Engelmanna i Langego. Z powodu podobnego postępowania i z powodu takowego pojmowania chwili ówczesnej rospoczęły się gwałtowne starcia między Chłopickim a klubistami, w skutek czego rząd tymczasowy 5. grudnia przez Czartoryskiego i Niemcewicza ofiarował mu dyktaturę. Lecz Chłopicki wychodząc z zasady, że dyktatura należy do rzeczy, które się biorą a nie dają, wchodzi do rządu, i rzucając nominacyą, którą mu przysłano, oświadcza, że niczyjej nominacyi nie potrzebuje, że sam bierze władzę nieograniczoną i że ją sprawować będzie przez dni kilkanaście, póki się sejm nie zgromadzi. Jednak zostając bezczynny i idąc tą samą na którą raz wstąpił drogą, począł oburzać naród i party tem silniej na nowo przez klubistów, już 10. stycznia 1831 roku dyktaturę na powrót złożył. Przyznać jednak wypada, iż Chłopicki wyspowiadał się z rzetelnych zamiarów swoich przed deputacyą, wysłaną od sejmu do niego: „Chcecie mnie, jakim jestem, mówił, chcecie mnie z całym moim dziwacznym systematem, z całą moją odrazą od wojny, z całą moją skłonnością do rzucenia się w objęcia ojcowskie Cesarza, — to dobrze; a jeżeli się wam taki, jaki jestem, niepodobam, to mniejsza o to, to złożę władzę, i nieprzyjmę od sejmu drugiej legalnej dyktatury.“ Przy składaniu dyktatury oświadczył Chłopicki w wielkiem uniesieniu: „Jeżeli młodzików sumienia uwalniają od przysięgi, co do niego, on monarsze swemu wiernym będzie, bić się nie chce, i władzę powierzoną sobie jedynie dla uwolnienia kraju od anarchii, natychmiast składa.“ Ofiarowanego mu później dowództwa armii przyjąć nie chciał, lecz wszedł w szeregi jako prosty żołnierz, oświadczywszy przy tem, iż nowo na jego wniosek obranemu naczelnemu wodzowi ks. Michałowi Radziwiłłowi, jeżeli tego zażąda, radami swemi pomocnym będzie. Później kilkakroć dowodził oddziałom większym, i w ówczesnych morderczych bitwach na najwidoczniejsze narażał się niebespieczeństwa. Pod Wawrem i Grochowem zabito pod nim konie, a oprócz tego pod Grochowem od pękającego granatu ciężko był ranny w obie nogi. Już dalej czynnym być nie mógł, leżał długi czas ranny w Warszawie, a po kapitulacyi Warszawy usunął się do Krakowa, gdzie odtąd mieszkał. W lutym 1846 r. wraz z konsulami obcych mocarstw wyjechał z Krakowa, a w r. 1848, choć wszystkim ruchom przeciwny, widzęc młodzież w złem ustawieniu, choć nie myślącą ataku, przecie na pełną szarżę karabinową wystawioną, przypatrując się zdala wszystkiemu, zakomenderował nią, w zasłoniętej ustawił pozycyi, miarkując ją przytem od nierozważnego kroku.

Listy gospodarskie.

V.

(Ciąg dalszy.)

W tym to celu postanowiłem uczynić odezwę do kolegów pasieczników krajowych, prosząc, aby poszukiwaniem tego zawodu zająć się raczyli. Żeby zaś takowe ułatwić, żeby każdy mógł wiedzieć czego ma szukać, i po czem zawód pszczół czysto włoskich poznaje się, umieszczam następujące wskazówki.

Pszczoła włoska, od naszej odrobinę mniejsza, różni się najwyraźniej kolorem obrączek, których jak wiadomo, każda pszczoła ma sześć. U pszczół naszych krajowych wszystkie sześć obrączek są zupełnie czarne, a przynajmniej ciemne; u pszczoły włoskiej zaś dwie pierwsze obrączki od osady skrzydełek są koloru ciemno-pomarańczowego, niby w rudawy wpadającego, a następne cztery w tył ku żądłowi są tak samo, jak u naszych krajowych czarne. Ten

ciemno pomarańczowy kolor dwóch obrączek, jest jedyną charakterystyczną cechą pszczoły czysto włoskiej.

Lecz ten ciemno pomarańczowy kolor powinien być wyraźny i pokrywać dwie obrączek wyraźnie i zupełnie. Jeżeli obrączki są tylko brunatne, albo żółtawe, lub tylko jedna obrączka jest pomarańczowa, a reszta czarne; lub tylko nieco jaśniej mienią się od tylnych albo wreszcie jeżeli na obrączkach zamiast barwy pomarańczowej jednolitej, widać tylko centki albo prążki pomarańczowe, pszczoły takie nie są już czysto włoskie lecz mieszańce.

Trut włoski ma także dwie pierwsze obrączki jaśniejsze od tylnych, lecz nie pomarańczowe jak u pszczół, tylko jasno brunatne. U truta krajowego zaś wszystkie obrączki są czarne.

Matka włoska zwykle nieco mniejsza i smuklejsza od krajowej, ma pospolicie cztery pierwsze obrączki od skrzydeł koloru pomarańczowego, dwie zaś ostatnie są jasno brunatne; pod brzuszkiem jest zawsze jasno żółtawa. Zdarzają się wszakże matki włoskie po wierzchu cokolwiek ciemniejsze, i na odwrót znowu całkiem jasno pomarańczowe, jakby pozłótką powleczone. Kolor jasny matek włoskich jest tylko znamieniem rodu, lecz nie jest cechą jego czystości czyli oryginalności. Może bowiem matka być prawdziwą włoską, jasną jak złoto, a jednak nie będzie rodu czystego, jeżeli sparowała się i zapłodziła z trutem zwyczajnym czarnym. Jedynym znakiem oryginalności i czystości matki włoskiej jest to, jeżeli płodzi same tylko pszczoły z dwoma obrączkami pomarańczowemi bez żadnej odmiany, jak w górze opisałem.

Jeżeli więc pasiecznik zechce rozpoznać rodowość pnia którego w pasiece, niech patrzy nasamprzód, jakie w nim są pszczoły. Jeżeli są same tylko czysto pomarańczowe: to jest z dwoma obrączkami ciemno pomarańczowemi, pszczół zaś czarnych nie widać w nim wcale; pień taki jest niezawodnie czysto włoski i ma matkę czystą prawdziwą włoską; będą też i truty w takim pniu zawsze włoskie, to jest z dwoma obrączkami brunatnemi.

Jeżeli przeciwnie w którym pniu spostrzeże wprawdzie pszczoły pomarańczowe, lecz obok nich także pszczoły czarne, ckoćby w najmniejszej tylko ilości; pień taki nie jest już czysto włoskim, lecz bastardem czyli mieszańcem, którego matka zapłodzona została od trutu rodu obcego. W takim pniu pokaże się też zawsze mniej więcej pszczół z jedną tylko obrączką pomarańczową, lub z obrączkami żółtawemi, albo też tylko niewyraźnie popstrzonych. Im zaś więcej pszczół czarnych i niewyraźnie poznaczonych widać w pniu którym: tem bardziej oddalony jest od rasy czystej i tem jest pośledniejszy. (D. n.)

Anapa.

Po zdobyciu Sebastopolu gotują się połączone armie do wzięcia Anapy. Anapa jest kluczem do Kaukazu, ztąd poczyna się gościniec i ciągnie się ku rzece Łabie, której koryto w środek gór prowadzi. U źródeł jej na dziale wód zakaukaskich są doliny, któremi się dalej przez Kaukaz ku Azyi spuścić można. Rossya opuściwszy wszystkie warownie na wybrzeżu abchazyjskiem, zatrzymała przecież Noworossyjsk i jeszcze ważniejszą Anapę, obsadziła je silną załogą, bo z tych jedynie dwóch punktów jest możebne odzyskanie całego wybrzeża. Jeśli Kaukazkie kraje z zaborczych szponów mają być wydarte, plemiona tamtejsze wolne, i koniec położony tej okropnej wojnie, któraby może kiedyś przecie zakończyć się musiała podbiciem i niewolą ich, służąc za most rossyjski w głąb Azyi; to dobycie tych obu punktów warownych jest nieodbicie potrzebnem.

Już od dawna kusiła się Rossya o posiadanie Anapy, i dostała ją w roku 1791, ale w pokoju w Jassach, dnia 19. stycznia 1792 r. oddać ją musiała znowu Turcyi. Cesarz Alexander kazawszy ją zdobyć, w roku 1811 przymuszony do prędkiego pokoju z Turcyą, w traktatach zobowiązał się do wydania jej prawym właścicielom. Alexander, jakkolwiek koniecznym był dla niego pokój z Turcyą, odrzucił przecie ten warunek; ale przez omyłkę załoga Rossyan jeszcze nim carski ukaz dostała. już z warowni ustąpiła. Ten błąd mógł być dopiero w roku 1828 naprawiony. Admirał Greigh ukazał się pod Anapą z liczną flotą, wysadził 20,000 wojska pod dowództwem ks. Menżykowa na brzeg, i dobył jej po trzech tygodniowem obleżeniu, dnia 9. czerwca. I był to jeden z najważniejszych warunków pokoju Adryanopolskiego, że Poti i Anapę w rossyjskim ręku zostawiono. Dyplomaci może nie pojęli całej ważności jej położenia. Leży ona nad zatoką obronną i nieprzystępną. Ztąd posuwały się orły rossyjskie przez 25 lat po wybrzeżu, wystawiano warownię za warownią, odcięto Czerkiesów od morza, skąd się zaopatrywali bronią i żywnością, i mnogie przez to plemiona Rossyi poddać się musiały. Anapa jest oraz kluczem gościńca do kaspijskiego morza i do środka Azyi.

Przemieniono ją w wielką zbrojownię, ufortyfikowano obecnie jeszcze mocniej, a załoga ma do 20000 żołmierzy wynosić. Również jako port i stanowisko handlowe, licząc 8000 mieszkańców, Anapa jest bardzo ważną. Leży tylko 15 wiorst od ujścia Kubanu do morza czarnego, ma licznych, zamożnych kupców, którzyby się najchętniej dowozem miodu, wosku, wełny i innych produktów krajowych zajęli, i byliby pośrednikami dla handlu europejskich towarów w głąb Azyi, gdyby nie rossyjski system celny.

Anapa leży pod 45°. szerokości; klimat tam jest bardzo ciepły. Kaukaz ztąd wznosi się; okolica, widoki w sine góry, morze, uprzyjemniają pobyt, i niezmierne otwarłoby się tam pole dla przedsiębiorstw europejskich.

Rozmaitość.

* Nie potrzeba dowodzić, jak okropne po kościołach i cerkwiach naszych panuje niedbalstwo. Każdy cokolwiek o siebie dbający, najbiedniejszy nawet włościanin, dba jakoś o ubogą chatę swoją; po domach bożych zaś tradycyjnego nie uprzątnięto niedbalstwa; te domy boże walą się, roboty snycerskie i malarskie dają nam tylko wyobrażenie o stanie przedpotopowym sztuki, którą widzimy na wykopanych bożkach starożytnych w ziemi naszej. Wprawdzie prostodusznym włościanom naszym, którzy w obrazie kościelnym nie patrzą na wykonanie, lecz szczerze wierzą, iż ten lub ów posąg, na którym doskonale osteologią studyować można, ten lub ów obraz, który zdaje się dziecko jakieś wymalowało, przedstawia świętą osobę, nie wiele potrzeba ku podniesieniu ducha za pomocą zmysłów; ale przecież, gdy domy boże stanowią nieraz jedyną prawie ozdobę architektoniczną wsi, miasteczek i miast naszych, wiecej dbałości na nie łożyć potrzeba, przynajmniej przy restaurowaniu starych lub stawianiu nowych. Ale i te restaurowania i budowania są tylko powtórnem,

nowoczesnem wydaniem dawnej niedbałości, świadczącem o zupełnym braku gustu lub o obojętności zawiadowców, jak widzimy w Sokalu, Kulikówie i na mnóstwie innych miejsc, nie pomijając nawet stolicę naszą. Za chlubny wyjątek trzymamy w tej mierze restaurowanie klasztoru i cerkwi *OO. Bazylianów we Lwowie*. Swiatły i gorliwy były prowincyał tego jedynego zakonu obrz. gr. *Przewielebny ks. Maryan Maksymowicz* (niegdyś superior konwentu w Ławrowie, obecnie w Drohobyczy) bez składek, bez pomocy, jedynie ze szczupłych funduszów ubogiego zakonu podjął odnowienie wszystkich sobie powierzonych konwentów, a we Lwowie poruczył wykonanie znanemu malarzowi Jabłońskiemu. I niemógł pracy tej, która wiele znajomości sztuki i gustu wymaga, w lepsze oddać ręce. Ukończona dotąd główna nawa tego sławnego w dziejach naszych monasteru; wcale pięknie wykonane nad chórem: Wniebowstąpienie, na środku trzej królowie, po bokach ucieczka do Egiptu i powrót, chrzest Chrystusa, i Jezus w Ogrojcu. Nad prezbiteryum umieszczony obraz: Koronacya Najświętszej Panny; na samym tyle św. Jan Damascen i św. Arseni wielki. W kaplicy po prawej ręce od wchodu, najstarożytniejszej części cerkwi, jest kopuła pięknemi rozetami wymalowana, niżej obrazy z I. księgi Mojżesza w kolorze bronzowym, pod tem 4 ewangeliści a w tyle św. Konstanty. Wszystkie te obrazy wykonane *al fresco*. Prócz tego są na ikonostasie na górze prorocy, a na dole śś. Metody, Eliasz, Jan Chrzciciel i Cyryli, pędzla p. Dolińskiego. Reszta przyozdobień architektonicznych wnętrza cerkwi jest w guście jońskim. Szkoda tylko, że rozkład cerkwi w różnych epokach przybudowywanej nie dozwolił panu Jabłońskiemu wszystkich swych pomysłów wykonać, któreby efekt całości jeszcze lepiej podniosły. Na dzwonnicy zewnątrz od ulicy są malowidła *al fresco*, olejno wykonane. Kończymy tę uwagę naszą życzeniem i radą, aby przy malowaniu innych domów bożych starali się zawiadowcy o obrazy i ozdoby takie, żeby przynajmniej oczu nie raziły a gdzie środki nie wystarczają, by przynajmniej białego prostodusznego wapna mazać nie dozwolili.

* Dnia 12. października odbędzie się w sali Zakładu narodowego imienia Ossolińskich publiczne posiedzenie coroczne.

* Deotyma (Jadwiga Luszczewska) z rodzicami przyjechała do Krakowa. Pobyt jej może poda wątek do nowej recenzyi lub nowego jakiego zdania. Spodziewać się, że zaszczyciwszy obecnością swoją miasto to, w którego murach wychodzący Czas z początku pod niebiosa jej poezye wynosił a potem z kretesem potępił, zechce szeregiem jakich nowych improwizacyj pobyt swój tam pamiętnym uczynić, wpłynąć na zmienienie sądu o sobie. Jeżeli zaś w Warszawie znalazł się materyał do improwizacyi, już to w przejazdce na statku parowym, już to w pracowniach malarskich, znajduje się tem więcej materyału w mieście trzech mogił, w skarbcu stolicy, w najświętszej dla każdego z nas okolicy.

Przyjechali od dnia 4. do 5. sierpnia do Lwowa:

PP. Łączyński Józef, hr. z Korczyna. Krajewski Maciej, z Jaworowa. Garapich Eliasz, z Zagórza.

PP. Kalinowski Władysław, hr. z Stanisławowa. Turkuł Władysław, z Wiednia. Romaszkan Antoni, z Borakówki.

Wyjechali od dnia 4. do 5. sierpnia ze Lwowa:

PP. Ks. Schwarzenberg, c. k. jen. major do Mikuliniec. Getner Eugieni, do Podkamienia. Baworowski, hr. do Zborowa. Koller, bar. do Tarnopola. Bader, do Czerniowiec.

PP. Kuczkowski Kazimierz, hr. do Czerniowiec. Trzciński Piotr, do Żyrawy. Szuszkiewicz Jędrzej, do Stryja.

Kurs telegrafowany z Wiednia 6. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	97 1/8.	Medyolan za 300 lirów	114 1/2.
Augsburg za 100 złr.	117 1/2.	Paryż za 300 franków	136 3/8
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	21 3/4
Frankfurt za 120 złr. podług 24 1/2 stopy . . .	116 3/8.	Srebra agio	17
		Pożyczka 5% 85 1/16. 4 1/2	74 3/8.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B. . . .	—
Hamburg za 100 tal. banco.	86 1/4.	Akcye banku . . .	1252
Konstantynopol	—.	Kolej północna . . .	1772 1/2.
Liwurno.	—.	Obl. ind.	—
Londyn za 1 funt szterl.	11. 22.	Nowa pożyczka z loteryą	98.
Marsylia	—		

Dzisiejszy. Kurs lwowski.	Gotówka	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 26	złr. 5 kr. 28
Dukat cesarski	„ 5 „ 30	„ 5 „ 33
Półimperyał zł. rosyjski	„ 9 „ 30	„ 9 „ 33.
Rubel srebrny rosyjski	„ 1 „ 50	„ 1 „ 51.
Talar pruski	„ 1 „ 44	„ 1 „ 46.
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1 „ 19	„ 1 „ 20
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . . .	„ 86 „ —	„ 86 „ 30.

Obligacye indemnizacyjne 75. 30 do 76 Złr. 24 kr.

Lwów 6. Październ. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 26 złr. 30 kr. do 32 złr. — kr. — Żyta po 21 złr. 30 kr. do 25 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 15 złr. 15 kr. do 18 złr. — kr. Grochu po 30 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 16 złr. 15 kr. do 20 złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. 20 do 9 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 28 złr. 45 kr. do — złr. Sosnowego po 24 złr. 30 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 37 kr. do — złr. —. kr. Centnar słomy 2 złr. 2 kr. do złr. —. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr. — kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**